



Grażyna Obrąpalska



Przystanek Kostaryka

Grażyna Obrąpalska



Przystanek Kostaryka

JanKa
2013

Copyright © Grażyna Martenka-Obrąpalska, 2013
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2013

Seria Przystanek

Wydanie I
Pruszków 2013

ISBN 978-83-62247-27-1

Wszystkie zdjęcia – w tym na okładce – z archiwum Autorki

[Kup książkę](#)

To jest książka o podróży, która stała się książką o przyjaźni. Nie o zaliczaniu krajów, chociaż zobaczyłam ich sporo. Lecz o tym, jak my zmieniamy świat i jak świat zmienia nas.

Nie ma już naszego domu w Kostaryce, ale są w niej ciągle nasi przyjaciele. I to do nich wracam.

Tę książkę dedykuję wszystkim przyjaciółom, bez których nasza Kostaryka byłaby tylko tragikomiczną przygodą trochę naiwnych Polaków, a dzięki nim stała się czymś znacznie więcej. Także Jackowi, który towarzyszył wszystkim moim podróżom.

6. Raj dla turystów?

Kostaryka nie jest krajem biednym. Dochód na głowę mieszkańca, jak na tę część świata, jest wysoki – wynosi około siedmiu tysięcy dolarów rocznie.

Kostarykańczycy są nazywani *Ticos* – przez skłonność do zdrobnień wyrazów i używaniu końcówek *-tico*, *-tica*. Tak więc kawa jest kaweczką, *cafecito*. Zwierzę to zwierzątko, *animalito*. Pies jest najchęćniej pieseczkiem, *perrito*.

Jej ciemne strony to bardzo wysoka przestępczość, rosnąca z latami. Informuje o tym cała masa wiadomości gazetowych i tych przekazywanych z ust do ust. Wszystkie są dość przerażające. Uspokajam czytelnika, rodzinę i przyjaciół: nam się nic złego nie przydarzyło. Po pierwsze – nasze Atenas jednak fala przestępstw dotykała ciągle w niewielkim stopniu. Czy tak do końca w niewielkim, zastanawiam się z perspektywy. Opowieści znajomych i przyjaciół brzmiały raczej uspokajająco. Nic poważnego. Nawet dom Klary i Ala, pozostawiony na dobrych kilka lat, nie doznał poważnego uszczerbku. Kilka niewielkich włamań, słyszeliśmy. Potem zainstalowali instalację alarmową, która działa zabawnie. Nie jest bowiem monitorowana przez żadną agencję czy policję. Po prostu wyje. My mieliśmy taką samą. Sygnał był co prawda połączony z naszym telefonem, który sygnalizował niebezpieczeństwo tak, że zaczynał dzwonić. Ale jeśli byliśmy daleko od domu, możliwość interwencji była żadna. Mogliśmy tylko się denerwować.

Wszystko zależy więc od reakcji sąsiadów. My mieliśmy wielkie szczęście. Cała miejscowa rodzina Morello, mieszkająca w trzech domach niespełna trzysta metrów od nas, reagowała natychmiast na każdy alarm w naszym domu i zawsze któryś z członków rodziny

sprawdzał, co się dzieje. W naszym wypadku było to tylko kilka fałszywych alarmów. *False alarma*, otrzymywaliśmy uspokajający telefon już po kilku minutach.

Nas chroniła także reputacja: Jacek wyglądał groźnie, przynajmniej o głowę przewyższał najwyższego *Tico*. Od czasu do czasu urządzaliśmy także zawody w strzelaniu. Dźwięk wystrzału odbity od gór słychać było z daleka. Doszła do tego jeszcze reputacja naszej Shakiry. Owczarki niemieckie są używane przez miejscową policję i uchodzą za psy groźne. Nasz miły pies nigdy nikogo nie ugryzł, a jeśli zaczepił, to tylko dlatego, że chciał się bawić. Ale Shakira była bardzo czujna i na każdy podejrzany dźwięk czy widok reagowała szczekaniem. Ostatecznie przez trzy lata mieszkaliśmy nie niepokojeni przez złodziei, nikt też na nas nie napadł. Także w miejscach publicznych nie zostaliśmy nigdy zaczepieni czy okradzeni. W znacznej mierze – dzięki własnej przezorności. Nasze wielokrotne podróże wpołyły w nas wiele podstawowych zasad z gatunku „jak powinien zachowywać się obcy w nieznanym kraju lub terenie”. Krótko? Z ostrożnością. Nie pałętać się po nieznanym terenie po zmierzchu, zwłaszcza po dzielnicach rui i poróbstwa. Było w tym także – jak myślę z perspektywy – sporo naiwności i wiary we własną inteligencję. To, że nie zostaliśmy wydani na próbę, zawdzięczamy prawdopodobnie dużej dozie szczęścia.

Kradzieży nie uniknęli nasi sąsiedzi przez płot. Podobno od zawsze szanowani i lubiani przez miejscowych, których regularnie zatrudniali. Pewnej nocy z dwóch wielkich posiadłości ukradziono wszystkie kable elektryczne. Musiał to zrobić ktoś z miejscowych, dobrze znający topografię terenu. Kabli więc nie było, elektryczności oczywiście też. Sąsiedzi zdobyli się na większą inwestycję: zakopali kabel, podobnie jak my. Wkrótce też wszyscy w okolicy wiedzieli, że niejaki Paco w sąsiednim Escobal sprzedaje kable.

Ale *Ticos* reagują inaczej. – Nikomu nic się nie stało, zapomnijmy więc o wszystkim – powiedziała żona Alejandra Elsa po tej kradzieży. Policja nie została więc powiadomiona. Nie próbowali także, ku naszemu zdziwieniu, przeprowadzić rozmowy z domnianym sprawcą. Tak się tutaj postępuje. Przymyka oko.

Po tym epizodzie na bramie wjazdowej do naszych kilkunastu posiadłości pojawiła się potężna kłódka. Od dawna upominał się o nią Jacek, ale ciągle słyszał tłumaczenie, że jest to bardzo skomplikowana sprawa. Klucza musieliby używać wszyscy właściciele działek, a to było trudne do przeprowadzenia. Okazało się jednak możliwe.

My mieliśmy szczęście, ale zaledwie po kilku miesiącach od naszego wyjazdu z Kostaryki włamywano się do naszego byłego domu aż cztery razy; ze smutkiem donosił nam o tym Pablo. Okazało się, że posiadłość musi być nieustannie pilnowana.

W naszej okolicy zdarzały się jeszcze śmielsze próby kradzieży. W trakcie sezonu amerykańskiego futbolu, trwającego od września do lutego, tradycją stało się niedzielne oglądanie meczu, czasami dwóch, w naszym domu przez Klarę i Ala. W czasie tego, łatwego do przesłedzenia rytuału, przejeżdżający drogą Gerardo zauważył zatrzymującą się przed posiadłością naszych sąsiadów sporą ciężarówkę. Zatrzymał się i zapytał trzech mężczyzn, co robią, usłyszał, że Klara wynajęła ich do wycięcia kilku drzew mango. Zadzwonił do nas, nasi goście nic o tym nie wiedzieli. Ekipa ogrodnicza odjechała bardzo szybko. Sąsiedzi mieli, co prawda, trzy psy, dwa nieco większe od ratlerka, trzeciego, husky, łaszącego się do każdego, ale zdecydowanie nie była to sfera obronna.

O jeszcze jednej niegroźnej kradzieży usłyszeliśmy od Kay, właścicielki miejscowej kawiarni, i jej piątego męża. Nasza wina, zostawiliśmy uchylone okno, tłumaczyli. Ich laptopy i kilka innych cennych drobiazgów zniknęły. Tak skończył się ich sentymentalny okres, przez który przechodzi prawie każdy *gringo*: wstawili do okien kraty.

Atenas ma jednak swoje podskórne życie, słyszeliśmy od miejscowych. Wiadomości potwierdziła prasa, nie są to więc tak lubiane tutaj plotki. W jedną z niedziel w Atenas zatrzymano ciężarówkę wiozącą 1441 kilogramów kokainy. Worki były przysypane piaskiem, a dwaj mężczyźni o nazwiskach Arce i Riviera zostali zatrzymani, o czym doniosły poważne źródła. Policja zablokowała kilka ulic wokół parku, ale przewieszeni przez parapety okienne

mieszkańcy i tak mogli śledzić liczenie worków przez agentów służb antynarkotykowych.

Atenas jest znane jako główne miejsce, w którym są magazynowane narkotyki, przeczytaliśmy potem w prasie. Nasze sympatyczne miasteczko, powtarzaliśmy zdziwieni. Kto by pomyślał.

Wszyscy mieszkańcy tego niewielkiego państwa wiedzą, że policja w Kostaryce jest nieudolna. To powiedziane łagodnie. Za mało zarabiają, czyta się wszędzie, łapówki wymuszane na kierowcach są znaczącą częścią ich dochodów. Nie może być bezpiecznie w kraju, gdzie szefem policji została mianowana pani profesor matematyki. To nie jest dowcip.

Tragiczne są drogi. Nawet te nowe, jak ostatnio skończona, oczekiwana przez dziesiątki lat Autopista del Sol. Na kilku odcinkach jest zdecydowanie za wąska, wydrążona w skale tak głęboko, że w porze silnych deszczów zagrożona jest zawaleniem. Mimo wszystko została otwarta, wybierano kolejnego przywódcę narodu i rządząca partia prezydenta Ariasa koniecznie chciała je wygrać. I tak się stało. Wygrała, popierana przez Ariasa, pierwsza kobieta sprawująca tę funkcję w historii Kostaryki, Laura Chinchilla.

– Z punktu widzenia funkcjonowania kraju jest to wielki sukces – przekonywał nasz sąsiad Alejandro. W przypadku zwycięstwa innego kandydata nastąpiłaby wielka zmiana w obsadzaniu stanowisk, a bałagan w urzędach ciągnąłby się w nieskończoność.

W krajach latynoskich jest duża tolerancja, jeśli chodzi o obsadzanie stanowisk przez bliższą i dalszą rodzinę. Temu, że ministrem jest brat prezydenta, a wiele stanowisk jest obsadzonych przez bliższą i dalszą rodzinę, nikt się nie dziwi. Tak jak i temu, że wielu polityków kończy w więzieniach.

A teraz informacje lżejszego kalibru. W Kostaryce, do czego trzeba szybko przywyknąć, adresy są podawane w odniesieniu do stałych punktów, teoretycznie znanych mieszkańcom (bardzo często już nieistniejących): dwieście metrów na północ od byłego budynku Coca-Coli czy sto metrów od Bomberos, strażaków,

którzy wyprowadzili się z remizy dziesięć lat wcześniej. Przy takich drogowskazach obcokrajowiec praktycznie na trafienie gdziekolwiek nie ma szans.

Jeśli chodzi o stosunki z mieszkańcami i urzędami, trzeba być grzecznym; jakkolwiek krytyka Kostaryki i jej mieszkańców jest źle odbierana. Klócenie się, mówienie podniesionym głosem jest wielkim nietaktem. Dla Jacka konieczność obniżenia tonu była jak ucięcie prawej ręki. Mój mąż jest człowiekiem hałaśliwym, a swoich sądów nigdy nie ukrywa. Ale, o dziwo, cała okolica go tolerowała, widać odkryła jakieś inne walory. Więcej nawet, po naszym wyjeździe okazało się, że za barwną osobowością mojego męża Atenas tęskni i po nim płacze. Bez niego jest strasznie nudno, piszą do nas osieroceni, pozostawieni na kostarykańskiej ziemi przyjaciele.

San José, ulokowane w Mesecie Centralnej, jest uważane za najpiękniejszą stolicę Ameryki Środkowej. Jest to opinia powielana przez miejscowych oraz źle poinformowanych.

Dla mnie San José jest brzydkim, bałaganiarskim, pełnym chaosu miastem, po którym jest trudno się poruszać i w którym jeszcze trudniej żyć. Śmieszy mnie też, kiedy Escazú, dzielnica uważana za najbardziej prestiżową część stolicy, jest nazywana kostarykańskim Beverly Hills. To Beverly Hills jest zbudowane bez żadnego planu. Od czasu do czasu widać piękny, kosztowny dom, ale kilka następnych to mogą być zupełne rudery. Tak też wygląda całe sąsiedztwo ambasady amerykańskiej, uważane za najbardziej elegancką i najdroższą część Escazú. Wyróżnia się wyłącznie lepiej zorganizowaną służbą parkingową.

Składa się ona z koczujących przy krawężnikach mężczyzn w odblaskowych kamizelkach. Może je kupić każdy. Kamizelkowicze są gotowi za kilka dolarów popilnować samochodu. Biorą drogo, ale w sąsiedztwie obowiązują jeszcze wyższe stawki. Oddalony o jedną przecnicę od ambasady niewielki parking jest bowiem zawsze zapchany. Poruszanie się po San José jest zadaniem karkołomnym, wymaga więcej niż silnych nerwów i rzadkich umiejętności.

Tubylcy jeżdżą strasznie, zupełnie po wariacku, bez oglądania się na przepisy, a wypadków na drogach jest co niemiara.

Jazdę utrudnia jeszcze jeden drobiazg – po najmniejszej nawet stłuczce nie wolno ruszyć samochodów z miejsca. Muszą one czekać na policję w tej samej pozycji, w jakiej doszło do wypadku, a służby w Kostaryce są bardzo nieruchliwe i nieliczne, dlatego na ich zjawienie czeka się nieraz bardzo długo. Co się wówczas dzieje na wąskich najczęściej drogach, nie muszę opowiadać.

Są to jednak głównie problemy miejscowych, urodzonych tutaj, oraz miejscowych przeschepionych, tak jak my – rezydentów Kostaryki. Turyści, po przespaniu jednej nocy w eleganckim hotelu, najczęściej opuszczają San José. Tak więc wszystkie niebezpieczeństwa tego chaotycznego miasta najczęściej są im obce. I tylko zdziwieni zza szyb autobusów oglądają, jak w kinie, przestępców uciekających przed policją w środku dnia w samym środku miasta. Jak w filmach braci Marx, jeśli pamiętasz, drogi czytelniku.

Do urody temu miastu daleko. A zjeździliśmy i przespacerowaliśmy duże kawałki stolicy. Te informacje o wrażeniach i uczuciach są więc z pierwszej ręki, która często ścisnęła mocno torebkę – ze strachu.

Gwoli sprawiedliwości – San José było trzecim miastem na świecie, w którym zainstalowano latarnie uliczne i jednym z pierwszych z infrastrukturą telefoniczną. Co nie znaczy, że na telefon nie trzeba długo czekać, a do jego założenia ilość papierków wymagana jest wprost niepoliczalna. Tylko po znajomości – to drobiazg. I tak też było w naszym przypadku.

San José jest miastem brudnym. Zanieczyszczają je w większości miejscowi, nie turyści. Ulice zalegają porzucone butelki, kawałki papierów. O odchodach psich nie wspomnę. A przecież Kostarykańczyków jest trudno nazwać brudasami – w ich domach jest zwykle czysto. Tyle że wszystko jest względne. Po kilkukrotnych wizytach w mieście Panama określenia „brudne miasto” nie używam już tak łatwo. San José w tym zestawieniu jest prawie schludne. Także na plażach góry śmieci po piknikach zostawiają prawie zawsze miejscowi. Obserwowaliśmy to, zdegustowani, wiele razy.

Turyści najczęściej starali się posprzątać po sobie i, co czasem wymagało dużego wysiłku, znaleźć jakiś pojemnik na śmieci. Ale też w Panamie wygląda to znacznie gorzej.

O wiele czystsze było nasze Atenas. Wokół parku często kręciły się służby porządkowe, a na sprzątnięcie góry śmieci, która pozostawała w każdy piątek, po dniu targowym, nie trzeba było specjalnie długo czekać.

Jeszcze jedna ważna dla mnie kostarykańska cecha. Ze zdziwieniem, przynajmniej na początku, patrzyłam na traktowanie dzieci. Były bardzo rzadko strofowane. Pozwalano im na zbyt wiele. Stojąc w najczęściej długiej kolejce w naszym czystym banku – po wpuszczeniu tam przez strażnika z bronią i sprawdzeniu zawartości torebki – widziałam dzieci rzucające na ziemię wszystko, co miały w rękach. I nigdy nikt im nie kazał posprzątać po sobie.

Podobno stosunek do dzieci jest w Kostaryce historycznie uzasadniony. Na początku dwudziestego wieku w szalejącej epidemii malarii zmarło ich dziesiątki tysięcy. Zaczęto je więc traktować trochę jak dar od losu, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Ale w rodzinach o tradycyjnych wartościach są najczęściej bardzo grzeczne i miłe. Takie są wnuki naszej kostarykańskiej sąsiadki, seniorki rodu Morello, Donii Nurii – Juan José i Melissa. Jaki będzie jej najmłodszy wnuk, mały Dario? Na razie jest tylko za gruby i także traktowany jak wielki dar niebios; rodzice, Emilia i Gerardo, czekali na niego długo.

Zdarzyło nam się także, że jadące na platformie samochodowej dzieci – jeszcze nie nastolatki – pokazały nam środkowy palec, gest prawie wszędzie znany. Moja reakcja była więcej niż gwałtowna. Wiązanka, która wtedy leciała z moich ust, jest ciągle z satysfakcją przypominana przez Jacka. – I ty narzekasz, że strasznie klnę – dodaje zwykle na końcu.

Kostaryka kiedyś żyła wyłącznie z kawy, która została sprowadzona z Kuby na początku dziewiętnastego wieku. Warunki pod uprawę wydawały się doskonałe: duże obszary ziemi pochodzenia wulkanicznego, stosunkowo niskie temperatury na wyższych

elewacjach. Na skalę przemysłową kawę zaczęto uprawiać na początku dziewiętnastego wieku (1816). Feliks Welwarde posadził w Kostaryce pierwsze nasiona i rozszerzył uprawę do celów konsumpcyjnych. W XIX wieku rozdawano ziarna kawy i ziemię pod plantację każdemu, kto chciał się podjąć takiego zajęcia. Kawa stała się kostarykańskim złotym ziarnem. Za jej sprawą narodziła się grupa prominentnych baronów kawowych, którzy sfinansowali między innymi budowę Teatru Narodowego. Zyski przeznaczano także na edukację. Młodzież z wpływowych rodzin mogła wyjeżdżać na studia do Ameryki czy Anglii. Wracali jako doktorzy, naukowcy i tworzyli miejscowe elity. Tak zresztą jest do tej pory. Młodzież z zamożniejszych rodzin tradycyjnie wyjeżdża na studia, najczęściej do USA, ale także do Europy.

Kostarykańska kawa jest ciągle bardzo dobra. Tutejsza arabika ma trochę niższą zawartość kofeiny i jest przyjemnie łagodna w smaku.

Najbardziej rozpoznawalna jest marka Café Britt, zawdzięcza to w dużym stopniu świetnemu marketingowi. Jest wszechobecna w kostarykańskich sklepach i jak najbliżej turystycznej kieszeni – na lotnisku.

Café Britt jest już dużą międzynarodową korporacją. Ja jednak jestem zwolenniczką innej kawy, o prostej nazwie Café 1820. Produkcję zaczęto w roku 1820 i stąd jej nazwa. To bardzo dobra kawa, aromatyczna, marketingowo nie tak rozpoznawalna, ale według mnie nawet lepsza od Café Britt.

Tradycyjnie kawę w Kostaryce parzy się, wsypując zmielone ziarna do płóciennego woreczka, który zanurza się we wrzącej wodzie. Następnie ten mało pitny napój psuje się do końca, mieszając z dużą ilością cukru i mleka. Nie dla nas. Dodam coś jeszcze. Mimo że espresso jest powszechnie dostępne, to kawa serwowana tu w restauracjach, kawiarniach czy prywatnych domach jest marna. Takie po prostu kawowe nieszczęście, przynajmniej dla mnie, zaprzysięgłej kawoszki, która z niejednego ekspresu kawę piła.

Obecnie kawa nie jest już złotym ziarnem Kostaryki. Konkurencja jest ogromna i mimo że marki kostarykańskie są rozpoznawalne

na świecie, nie wygląda na to, aby z jej eksportu został zbudowany w najbliższym czasie nowy Teatr Narodowy (stary się rozpada), a i baronów kawowych na ulicach mało. Przyznam się, że ostatnio nie spotkałam żadnego.

My także założyliśmy sobie małą plantację kawy – dwadzieścia krzaczków. Co prawda nie udało nam się wyprodukować nawet jednego kilograma, ale co plantacja, to plantacja. Nasza kawa pięknie zakwitła, uformowały się podłużne owoce o twardej, zielonej skórce, nieco mniejsze od wiśni. Owoce dojrzały, skórka zmieniła kolor i różne odcienie czerwieni cieszyły oczy.

Zbieranie owoców było wyzwaniem, ale w wypadku właścicieli dwudziestu krzaków do podjęcia. Tyle że następne etapy – pozbywania łupinek, co odbywa się za pomocą maszyny zgniatającej owoce, potem zaś moczenia w wodzie, fermentacji i suszenia, były nie do przeprowadzenia w warunkach domowych. Po kilku tygodniach nasze czerwone owoce zamieniły się w wysuszone, pomarszczone czarne nieszczęścia.

W naszym domu równie chętnie jak kawę piło się świetne kostarykańskie kakao. Co ciekawe, kakao pochodzące z Kostaryki wcale nie było łatwe do znalezienia w lokalnych sklepach. Najczęściej spotykane było importowane z Hondurasu i Gwatemali. Ale my uparliśmy się i brązowe metalowe puszki z produktem lokalnym stanęły w naszej spiżarni.



Kawa znów kwitnie... Niżej targ w Alajuela.



Projekt okładki:
Anna M. Koźbiel

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-27-1

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl